

O TYM, JAK ZOSTAŁEM ARESZTOWANY PRZEZ GESTAPO I JAK STAMTAD UCIEKŁEM

Podczas okupacji należałem w Wilnie do grupy dywersyjnej "Wachlarza" /później - "Kedywu"/, dowodzonej przez mego szwagra, Bronisława Krzyżanowskiego / "Bałtruka"/i mającej głównie za zadanie zdobywanie broni, wykolejanie pociągów i dokonywanie innych dywersji. Moje czynne zaangażowanie w tej grupie było stosunkowo nikłe; podczas całego okresu okupacyjnego wzięłem udział zaledwie w 6-ciu czy 7-miu wyprawach. Natomiast byłem zaangażowany głównie w związku z pracą w moim i mojej Żony biurze tłumaczeń "Rastas" /Wileńska 2/, gdzie przy pracy zarobkowej - jednocześnie dokonywaliśmy /nieodpłatnych/ tłumaczeń z różnych wydawnictw litewskich i przekazywaliśmy je dalej, dla potrzeb Delegatury Rządu lub Dowództwa AK.

Mimo że w wyżej wymienionym oddziale "Bałtruka" byłem zaangażowany w stopniu nieznacznym, mało brakowało, aby nie skończyło się to dla mnie tragicznie. W tek komórce oporu natomiast, w charakterze łączniczki, była znacznie bardziej czynna moja Żona / "Lisica"/, będąca w częstym kontakcie z "Bałtrukie" i wykonywująca dla potrzeb Jego "Bazy" szereg zleceń o różnorodnym i nieraz bardzo odpowiedzialnym charakterze.

Zaresztowanie mnie przez Gestapo, jakie miało miejsce w ostatnich dniach maja 1944 roku, nastąpiło właśnie na skutek działalności mojej Żony. Między innymi bardzo często kontaktowała się Ona ze Szczepanem Ławcewiczem "Koniem", również zaprzysiężonym członkiem "Wachlarza", oficjalnie jednak pracującym w charakterze starszego felczera, pełniącego funkcję lekarza w więzieniu na Łukiszkach, będącym jednocześnie naszą "wtyczką" w Gestapo. Do roli tej Sz. Ławcewicz był szczególnie predystynowany, znał bowiem pierwszorzędnie język litewski i udawał Litwina.

Wśród licznych aktów dywersyjnych oddział "Bałtruka" w połowie maja 1944 roku dokonał - w biały dzień zuchwałego odbicia przewożonego z więzienia do szpitala, rzekomo chorego instruktora, spadochroniarza "Szkolnika" / Eugeniusza Chylińskiego/, który został zaaresztowany przez Gestapo i w związku z katowaniem go tam - przekazał; za pośrednictwem "Konia" mojej Żonie wiadomość, że nie ręczy za siebie i że się obawia, że zacznie "sypać". W związku z tym w kierownictwie AK powstała koncepcja odbicia tego więźnia. Sprawę przekazano do wykonania "Bałtrukowi", który z kolei zlecił mojej Żonie skontaktowanie się z Ławcewiczem w celu omówienia możliwości sfingowania choroby "Szkolnika", wymagającej jego przetransportowania do szpitala św. Jakuba, ustalenia trasy przewozu, dnia godziny i wszystkich niezbędnych okoliczności. Wszystko to zostało ustalone i odpowiednio zorganizowane. "Szkolnika" odbito. Ponieważ istniała uzasadniona obawa, że Gestapo zorientuje się, że jego choroba została zmyślona i że pierwszą ofiarą byłby "Koni", "Bałtruk" usilnie starał się wpłynąć na Niego, by natychmiast wyjechał z

na mnie i na nasze mieszkanie. Jak później dowiedzieliśmy się "Koń" był katowany znacznie bardziej bestjalsko niż ja /T.C./.

Po wspomnianej konfrontacji i ponownych bezwynikowych badaniach wyprowadzono mnie do sąsiedniego pokoju, a właściwie do jakiejś komory, przypominającej strych, czy jakieś poddasze, być może przeznaczonej na katowanie, gdzie związane mi z tyłu ręce, podwieszono za nie na jakiejś elastycznej "żerdzi" /palu/ i jeszcze, "na dokładkę", bito jakimiś prętami, ale już widocznie traciłem przytomność i mało na to bicie reagowałem. Po zdjęciu mnie z owego "wieszaka" - ponieważ słaniałem się na nogach, chluśnięto na mnie wiadrem wody, po czym dozorca więzienny powłókł mnie z powrotem przez podwórko do celi.

Nie muszę wyjaśniać, w jak ponurym wówczas byłem nastroju. Nie wyobrażałem sobie, abym mógł znieść ponowne katowanie, zwłaszcza, że pośladki miałem zbite bez mała na miazgę, dalsze więc bicie odbywałoby się na "żywym", gołym mięsie". Z drugiej zaś strony zdradzenie członków mojej grupy było oczywiście nie do przyjęcia. Sprawa zaś była gardłowa i dla mnie niechybnie skończyłaby się na Ponarach. / Ponary - las na wzgórzu pod Wilnem w kierunku Landwarowa, gdzie odbywały się masowe rozstrzeliwania więźniów, Żydów, zakładników i.t.p./ . Los mój przedstawiał mi się w jak najczarniejszych kolorach. Byłem jeszcze dość młody, miałem wówczas około 40 lat, a najbardziej dręczyła mnie / rzecz osobliwa/ - myśl, że wobec niechybnej egzekucji, nie zobaczę już mojej ukochanej Córki jako dorosłej panny / w chwili mego zaareztowania miała Ona zaledwie około 10 lat/. Przed następnym dochodzeniem miałem zapewnionych co najmniej 2 dni przerwy, gdyż akurat wówczas wypadały Zielone Święta. Miałem więc na ponure rozmyślania minimum 48 godzin czasu. Nie tylko na rozmyślanie. W pewnym momencie próbowałem sobie podciąć żyły o kant blaszanki, która była wystawiona w charakterze "parażki" - ale, że ten kant nie był dość ostry, a ręce miałem w kajdankach, próba ta spełzła na niczym. Usiłowałem również na ścianie wyskrobać swoje nazwisko, obok innych nazwisk uprzednio tu uwięzionych osób /jak to jednak człowiekowi zależy, aby po zgoźnie zostawić po sobie jakiś ślad/.

Ale nadchodziły też i inne chwile, kiedy to przypominałem sobie sławną wypowiedź imć pana Zagłoby ; " Nie ma takowej opresji, z której - przy boskiej i ludzkiej pomocy - nie dałoby się salwować".

Na pomoc ludzką liczyć nie mogłem, pozostawała tylko boska. Jednocześnie po głowie wciąż mi się snuła czyjaś wypowiedź ; Pomóż sobie sam, a wówczas i Bóg ci dopomoże!".

Po kilkudniowej przerwie wyprowadzono mnie ponownie z celi, tym razem szczęśliwie tylko na spisanie życiorysu / jak widać mają do niego słabość nie tylko .... kadrowcy, ale i oprawcy wysyłający nas na tamten świat!/. Indagował mnie tylko jeden gestapowiec - ponownie Litwin. Rozmowa nasza

z Wilna i zadekował się w partyzantce. Koń jednak nie usłuchał tych rad /które niestety z niewaidomych nam przyczyn nie były sformułowane w formie rozkazu/ obawiając się represji, którym mogłaby być poddana przez Gestapo Jego Matka. Żona natomiast moja otrzymała od " Bałtruka" formalny rozkaz usunięcia się na jakiś czas z Wilna. W tej sytuacji, bezpośrednio po zamachu, spakowała rzeczy, zabrała dzieci i wyjechała w głąb Litwy, w swoje rodzinne strony. Ja natomiast pozostałem w Wilnie, jako te " niespalony", a jednocześnie posiadający pewne obowiązki w stosunku do współników w naszym biurze tłumaczeń.

W kilka dni po wyjeździe mojej Żony " Iisicy" szedłem ulicą Wileńską. Na moment wstąpiłem do sklepu Braci Niecieckich prowadzącego materiały piśmienne i inne drobiazgi / na modłę dzisiejszego Ruch/. Dokonałem jakiego kupna, po czym skręciłem w ulicę Ludwisarską i poszedłem nią w dół, w kierunku kościoła Bonifatów. U zbiegu ul. Ludwisarskiej i Tatarskiej nagle usłyszałem z tyłu litewski okrzyk ; " rankas aukstyn ! " / " ręce do góry" i dwóch uzbrojonych drabów rzuciło się na mnie i zaczęło mnie drżącymi ze strachu rękami obmacywać, najwidoczniej obawiając się, że ma przy sobie broń. Niczego takiego przy mnie nie znalazłszy poprowadzili mnie ulicą Tatarską w kierunku Mickiewicza ulokowując jak się niebawem okazało na krótki moment w karczerze urzędu policyjnego u zbiegu ulic Tatarskiej i Mickiewicza.

Jak się zdaje, byłem śledzony już od sklepu Niecieckich przez niejaką Czesnulisową, Litwinę, żonę litweskiego gestapowca, zamieszkałą wraz z mężem przy ul. Dąbrowskiego o jedno piętro niżej pod mieszkaniem moich Braterstwa i naszym / podczas okupacji mieszkaliśmy razem z Rodziną mego Brata Wacława/ W momencie, gdy zostałem aresztowany na ulicy, tak mi się wydaje, usłyszałem głos kobiety ; " tai tas" / "to ten"/, ale nie był to moment do dokładnej identyfikacji osoby donosicielki. Dlaczego śledzono mnie właśnie i dlaczego w sprawie owego zamachu zostałem zaaresztowany właśnie ja, okaże się z dalszego toku tej opowieści.

Wracam jednak do owego "karczeru". Nie potrzebuję dodawać, że nastrój miałem więcej niż minorowy. Pierwszą jednak myślą było, że trzeba się z tej opresji jakoś ratować. W " karczerze" długo mnie nie trzymano. Niebawem weszło kilku uzbrojonych policjantów i wyprowadziło mnie na ulicę, sadzając zaraz do podstawionego łazika. Auto ruszyło, skręciliśmy na lewo w ulicę Mickiewicza i na pełnym gazie pojechaliśmy w kierunku placu Łukiskiego. Głównie wtedy drażyła mnie myśl, że trzeba z łazika wyskoczyć w biegu i uciekać - lepszej okazji może już nie być. I byłbym to zapewne zrobił gbyby nie okoliczność, że siedziałem pośrodku siedzenia między dwoma uzbrojonymi policjantami.

Piorunem przejechaliśmy odcinek między Tatarską i placem Łukiskim, samochód skręcił na lewo w ulicę Ofiarną i stanął akurat naprzeciw przedwojennej Izby Rolniczej, której byłem jednym z inspektorów. Wprowadzono mnie do

pojedynczej celi /od korytarza pierwszej z lewej/, założono na ręce kajdanki i na jakiś czas pozostawiono w spokoju. Położyłem się na narach i zacząłem rozmyślać nad swoją sytuacją, ale nie trwało to długo, gdyż niebawem porwa-  
dzono mnie przez dziedziniec więzienny do gmachu Sądów na przesłuchanie. W pokoju, do którego mnie wprowadzono, było chyba ze 4-~~ych~~, czy 5-ciu gestapowców. Jak się od razu okazało, byli to Litwini zatrudnieni w Gestapo. Zaczęła mnie przesłuchiwać w języku polskim, ja jednak zaproponowałem im, abyśmy przeszli na litewski, który dobrze znałem. Był to z pewnością błąd z mojej strony, gdyż stosunek Litwinów do Polaków był zawsze gorszy, niż do Polaków pochodzących z Polski, ale mnie /o naiwności/ w owym momencie się wydawało, że rozmowa z nimi w ich ojczystym języku będzie miała jakiś "intymniejszy" charakter i może przyczynić się do lepszego potraktowania mnie.

Dochodzenie rozpoczęło się od żądań, abym ujawnił nazwiska szeregu osób należących do naszej grupy dywersyjnej. Padły pseudonimy "Bałtruca", "Kosa", "Frycza" i innych. Ich nazwiska były mi znane, ale odpowiedziałem, że nie mam pojęcia, kto to są ci panowie. Wówczas gestapowcy rzucili się na mnie rozłożyli na leżance i zaczęli potwornie bić po poślaskach gumową grubą pałą. Ból był niesamowity, wsadziłem sobie do ust palce rąk, gryzłem je i krzyczałem /częściowo z premedytacją/ wzmagając te ryki i wrzaski.

Po kilku minutowym katowaniu posadzono mnie na leżance - był już złaltretowany i wyczerpany fizycznie i nerwowo, ale zdradzenie kogokolwiek uważałem oczywiście za niemożliwe. Zaczęło się dalsze indagowanie, znowu w tej samej materii i znowu moje negatywne odpowiedzi. Tego rodzaju katowanie i badanie powtórzono kilka razy. W przerwie między jednym i następnym katowaniem jeden z gestapowców obdarzył mnie komplementem ; "Nors bajoras esi, kietą rurą turi" /"Choć szlachcicem jesteś d-~~dę~~ jednak masz twardą"/.

Gdy moi oprawcy zorientowali się, że tak łatwo pożądanego dla nich zeznań ze mnie nie wydobędą, przeprowadzili konfrontację, która - przyznam się zaszokowała mnie bardzo. Mianowicie w pewnym momencie wprowadzili do katowni ..... "Konia" /Sz. Ławcewicz/ owego lekarza więziennego, o którym była mowa na wstępie i który / ~~który~~ jak się zaraz okazało/ został aresztowany nieco wcześniej przedemną. Gdy "Konia" ukazał się we drzwiach, eskortowany przez więziennego dozorcę, wskazując na mnie moi oprawcy zapytali Go ; "Ar tas pats ?" / "czy ten sam" /, a ten potwierdził moją tożsamość taką odpowiedzią ; "Taip, tas pats" / "Tak, ten sam" /.- Na to ja odpowiedziałem ; "As sito pono ne pazistu" / "Ja tego pana nie znam" /, a oni drwiąco ; "Kaip taip, savo moksli draugo nepažisti ?" / "Jak to, nie znasz swego szkolnego kolegi?" /.

Sz. Ławcewicz moim szkolnym kolegą nie był, lecz rzeczywiście za czasów studenckich, rzadko zresztą spotykaliśmy się z Nim na zebraniach Wileńskiego Koła Kownian. Widocznie, uprzednio katowany x/ i indagowany o Jego kontakty z kierownictwem naszej grupy dywersyjnej, nie chciał wystawić na szwank mojej Zony / z którą spotykał się bardzo często/ poprostu więc wskazał

odbywała się spokojnie ; ja podawałem szczegóły mego życiorysu - on spisywał. W pewnym jednak momencie wyszedł z pokoju, pozostawiając mnie samego. Podeszedłem do okna i wówczas stwierdziłem, że akurat od niego / II-go piętra do przeciwległej bramy zwisała pochyło/ponad ul. 3 Maja/ jakaś ogumiona, gruba w przekroju conajmniej calowa linka. Odrazu pomyślałem sobie, że gdybym tak ponownie znalazł się w tym samym pokoju i gdybym znowu pozostawiono mnie samego i wreszcie gdybym miał ze sobą mój sweter /pozostawiony w celi/ tobym mógł, przełożywszy go przez linkę i spuściwszy się z okna, "zjechać" na niej aż pod przeciwległą bramę. Fantazjom jednak moim i przyglądaniu się mało ruchliwej uliczce nie mogłem poświęcać zbyt dużego czasu- gestapowiec w każdej chwili mógł wrócić do pokoju. Wróciłem więc na swoje uprzednie miejsce przy stole. Za chwilę wrócił gestapowiec, ale dalej życiorysu już nie spisywał, lecz zabrał mnie ze sobą żeby odprowadzić do celi.

W tym momencie zaświtała mi myśl, której realizacja w dalszym przebiegu w dużej , jeśli nie głównej mierze przyczyniła się do pomyślnego uskutecznienia mojej ucieczki z Gestapo. Otóż w momencie aresztowania mnie, w moim pugilaresie pozostała pewna - jak na owe czasy- dość pokaźna kwota w dolarach, którą uzyskałem ze sprzedaży mego motocykla, nabytu jeszcze z czasów mojej instruktorki w Kowieńskiej Izbie Rolniczej. Litwinów znałem jak własną kieszeń, zwłaszcza zaś orientowałem się, jak dalece łasi są oni na gotówkę i wogóle na wszelkie dobra materialne/cecha zresztą wspólna dla środowisk awansu społecznego w każdym społeczeństwie/. To przecież do Litwinów należy sławetna z tego czasu wypowiedź, kierowana zresztą w dużej mierze ~~na~~ pod naszym, tzn. Polaków adresem, że " honor pić i jeść nie daje!" Gdy więc z tym litewskim gestapowcem przechodziliśmy przez więzienne podwórko niby od niechcienia wtrąciłem mu, że wogóle w tej sprawie jestem niewinny, nie o niej nie wiem i tylko jedyne, co mnie niepokoi, to te dolary będące w moim pugilaresie, które mogą ściągnąć na mnie podejrzenie, że zajmuję się /karalną, spekulacją walutową, tymczasem one pochodzą tylko ze sprzedaży mego motocykla. Jak się później okazało, "rybka chwyciła haczyk"!.

Gdy następnego dnia wszczęto kontynuację spisywania mego życiorysu, na szczęście właśnie w tym samym, co uprzednio pokoju!/ było już dwóch gestapowców ale ledwie zaczęli oni indagację, jak jeden z nich nagle spytał drugiego ; " a cóż z tymi dolarami ?". Na to przypomnienie powstali obaj i wyszli z pokoju, widocznie po to, aby podzielić się łupem, nim zostanie on zapisany do protokołu. na to tylko czekałem ! Nie tracąc ani chwili do namysłu, spokojnie podeszedłem do okna i z równym spokojem i determinacją otworzyłem je, założyłem sweter na uprzednio opisaną linkę / trzymając oba jego końce w rękach/ i ,..... lekko osunąłem się z okna. Mój spokój i determinacja, które mnie samego wówczas dziwiły, wynikały z tego prostego rozumowania, że jeżeli wywołają mnie na Ponary, będę miał ~~na~~ lufy egzekutorskich karabinów prosto

w twarz / nic lepszego, jeżeli w tył głowy/ natomiast jeżeli będę uciekał, to przynajmniej nie będę wiedział kiedy we mnie trafią, a.... może nie trafią wogóle ?. Uliczka 3 Maja jest mało ruchliwa, a od jej strony przy gmach Gestapo bodaj nawet nie było żadnego strażnika.

Gdy zsuwałem się z okna i zaraz po tym zawisłem na lince i nieco po nim się zsunęłem, usłyszałem lekki trzask, a po tym ..... ocknąłem się już dopiero na podwórku przy domu na ulicy Podgórznej, dokąd właśnie będąc jeszcze w celu planowałem ucieczkę do zamieszkałego tam mego przyjaciela /Cz. Słuchocińskiego/. Cały odcinek drogi, jaki prześzedłem po zeskoku /biec napewno nie byłem w stanie/ ulicą 3 Maja, a następnie Jakuba Jasińskiego, Wogóle wypadł mi z pamięci, nawet nie czułem mego upadku na gazonie tuż przy murze Gestapo!. Okazało się bowiem, że owa linka, to był jakiś cienki drut, tyle tylko, że izolowany dość grubą gumą. Ow trzask, to było zerwanie się drutu- w tej sytuacji nie mogłem się zsunąć po nim do przeciwległej bramy, żeby przed nią na małej wysokości zeskoczyć, tylko poprostu spadłem / z II-go, dawnej budowy, tzn. wysokiego na 10 metrów piętra/ - na wspomniany gazonik. Najwidoczniej jednak cośkolwiek odsunąłem się od muru, u którego podstawy były ocembrowane betonem wnęki piwnicznych, okratowanych okien, prawdopodobnie celem więziennych. Gdybym spadł na nie, miałbym poharatane kości i wogóle nie mógłbym się ruszyć z miejsca upadku. A tak jednak choć od wtrząsu straciłem przytomność, złamałem prawą rękę w przegubie dłoni a lewą w łokciu, doznałem pęknięcia skóry w pachwinie, niemniej jednak /będąc w stanie podświadomości/ dowlokłem się te około 1/2 kilometra do wspomnianego domu przy ulicy Podgórznej. Jak to się stało, że mnie wówczas nie przychycono, po dziś dzień jest dla mnie tajemnicą.

Opowiadano mi po tym, że po moim zniknięciu z pokoju, ale najwidoczniej już po moim zakręceniu na ul. Jakuba Jasińskiego i odpowiednim oddaleniu się od strony ul. 3 Maja wysypała się chmara gestapowców. Mieli oni pobiec do styku tej ulicy z ulicą Portową i Jakuba Jasińskiego i tam nie znalazłszy niczego, spytała jakiejś kobieciny, czy nie widziała uciekającego więźnia, ta zaś miała powiedzieć, że tak ale wskazała im.... odwrotny kierunek / na ul. Portową/. Rzecz znamienita, że do powodzenia mej ucieczki prawdopodobnie przyczyniła się też okoliczność, że właśnie nie biegłem, lecz poprostu szedłem zataczając się / w takim stanie ocknąłem się na ul. Podgórznej/, a w takiej sytuacji musiałem robić wrażenie nie uciekającego więźnia, lecz raczej jakiegoś pijanego robociarza. To mógł być również jeden z szeregu szczęśliwych zbiegów okoliczności, które mi uratowały życie.

Dalsze moje losy już nie miały przebiegu sensacyjnego. Rodziny Słuchocińskich w domu nie zastałem, lecz niezwykle życzliwie zaopiekowali się mną mało mi przed tym znani, mieszkający w tej samej kamienicy p.p. Piotrowscy.

Wzięli mnie do swego mieszkania, sprowadzili odratę lekarza, który mi zestawiał złamaną prawą rękę, ale że był ginekologiem, zabiegu dokonał <sup>nie</sup>niefortunnie, że po dziś dzień mam ją u styku z dłonią wykrzywioną, jak u jamnika. Prosiłem na wszystko p.p. Piotrowskich, aby mnie przeprowadzili kładką przez Wilję na Zwierzyniec, obawiałem się bowiem pogoni i tropienia policyjnymi psami. Państwo Piotrowscy jednak na tę przeprawę się nie zgodzili. Byłem bowiem w stanie pół-omdlenia, tyle tylko, że najbliższy odcinek chodnika, dla zabezpieczenia przed policyjnymi psami natchmiast skropili amoniakiem.

Szybko natomiast zorganizowano przewiezienie mnie dorożką /po uprzednim ogoleniu i wyróżnieniu mi policzków/ do mieszkania p.p. Syrewiczów, zamieszkałych na rogu ul. ul. Ludwisarskiej i Bonifraterskiej /tzn. w odległości około 40 - 50 metrów od tego miejsca, gdzie mnie schwytano!. W mieszkaniu p.p. Syrewiczów przebyłem chyba ze 3 tygodnie / jeżeli nie dłużej/ doznając z Ich strony niezwykle serdecznej opieki. Cały czas przeleżałem w łóżku, chory na zapalenie opłucnej widocznie na skutek wstrząsów po upadku z II piętra. Leczył mnie wówczas znany wileńskie lekarz dr. Janowicz / chirurg/ będący również na usługach AK.

Jak mi się wydaje przetransportowanie mnie do p.p. Syrewiczów /również zaangażowanych w akcji podziemnej/ nastąpiło bodaj że z inspiracji Dowództwa AK, czy też Delegatury Rządu. Owa wyspa Ławcewicz, a po tym mnie - podobno- wywołało poważny niepokój w naszych władzach podziemnych, gdyż ujawnienie szczegółów dotyczących Wachlarza, a zwłaszcza fakt, że znałem szereg nazwisk powiązanych z nim osób, miało mieć, zwłaszcza przy dalszych aresztach nieobliczalne skutki dla kierownictwa ruchu oporu konsekwencje. /Ławcewicz tych powiązań nie znał/.

Jest rzeczą zabawną, że podobno w Gestapo, po mojej ucieczce panowało przekonanie, że była ona dziełem przemyślanej i zaplanowanej akcji podziemnej organizacji, tak mało wydawała się ona prawdopodobna jak czyn indywidualny. Czy rzeczywiście w Gestapo tak mniemano, czy była to poprostu plotka, trudno mi jest oczywiście powiedzieć. Jedno tylko nie ulega wątpliwości, że owi dwaj gestapowcy - Litwini za lekkomyślne pozostawienie więźnia samego i umożliwienie mu ucieczki, napewno, napewno musieli gorzko odpukotować, moje bowiem zniknięcie spowodowało urwanie się jedynej możliwej nici do wyczerpującego wyjaśnienia techniki porwania z Gestapo "Szkolnika", jak również zidentyfikowanie sprawców tego porwania.

Mimo, że z tej opresji "Szkolnika" wyratował "Bałtruk" - Krzyżanowski /On to bowiem dowodził kilkusobowym zespołem, który napadł na uzbrojonych konwojentów "Szkolnika" umożliwił mu ucieczkę, tenże "Szkolnik" później podczas repatryjacji do Polski na fałszywych dokumentach /sporządzonych za pośrednictwem tegoż "Bałtruka" zatrzymany na granicy

bodaj z powodu zakwestionowania przez władze sowieckie autentyczności dokumentów /czy też na skutek jego ucieczki z obozu sowieckiego, do którego w międzyczasie trafił- tego dokładnie nie wiem/ - otóż tenże "Szkolnik" podczas dochodzenia w NKAWD "wsypał" Krzyżanowskiego, co spowodowało aresztowanie Go i zasądzenie na 10 lat i następnie wywiezienie do KOMI SRR, gdzie przebywał do roku 1955. Zdarzały się wówczas tego rodzaju załamania i zdrady, choć były one bardzo rzadkie.

A cóż się stało ze Szczepanem Ławciewiczem "Koniek"? Skończył On tragicznie ; Niemcy / czy też kolaborujący z nimi Litwini dokładnie trudno to ustalić/ przed opuszczeniem Wilna nie omieszkali Go jednak rozstrzelać. Wyrządził On mi osobiście, co prawda wielką krzywdę, ale Jego zasługi w stosunku do wielu więzionych w wileńskim Gestapo naszych rodaków były t a k w i e l k i e, a działalność Jego na terenie więzień tak niesłychanie odważna i ryzykowna, że można o Nim jedynie powiedzieć ;  
" CZESC JEGO PAMIĘCI !"

Jeżeli zaś chodzi o mnie, to moja ucieczka z Gestapo ugruntowała mnie na dalsze około 30 lat życia w przekonaniu, że nawet w beznadziejnych sytuacjach nigdy nie wolno wpadać w desperację, ~~desperacja~~ i bierność, natomiast właśnie wtedy trzeba się zdobywać na maksimum inicjatywy, pomysłowości i determinacji. W tym przekonaniu utwierdziłem się jeszcze bardziej - w rok później - podobnie jak wielu innych, walczących przeciwko Niemcom Akawców Wileńszczyzny - znalazłem się w obozie koncentracyjnym w ..... Dombasie / !/, gdzie wówczas powymierali przede wszystkim ci, którzy stracili ducha i opanowani rezygnacją- wyzbyli się tak koniecznej w podobnych okolicznościach odporności psychicznej.

---

W roku 1970 jeździła do Wilna moja Bratanica / Maria Chmielewska/. Będąc tam między innymi odwiedziła w Kolonii Wileńskiej groby swoich podopiecznych żołnierzy AK, którzy polegli przy zdobywaniu Wilna w r. 1944. Była również w miejscowym kościółku, w którym jak mi zakomunikowała / o czym przed tym nie wiedziałam / - na ołtarzu po dziś dzień wisi krzyż " Virtuti Militari" Jej Ojca, a mego Brata Wacława. Ten krzyż uzyskany przez Niego na przełomie lat dziewiętnastych i dwudziestych za działalność w POW, Brat mój ofiarował jako votum temu kościołowi w związku z moim cudownym uratowaniem się z Gestapo. Nie wiedziałem o tym wówczas, a wiadomość ta- choć dostrzała do mnie po ćwiećwieczu - niewymownie mnie wzruszyła.

Warszawa 3 Maj, 1972

Tadeusz CYWINSKI / ps. " PUHAŁA"